



...kroki w deszczu do końca mojego życia pozostaną
dźwiękiem nadchodzącej śmierci

Moment

Wszystko co najważniejsze dzieje się przez przypadek, powiedział ongiś ks. prof. Józef Tischner. Miłość, nieważność — u źródeł tych uczuć tkwi przeważnie też przypadkowa chwila. W życiu przyrody i historii przypadek odgrywa kapitalną rolę. Ciekawe czy Stwórca reguluje jakoś te przypadki, czy jest obecny w historii? Czyż zatem jest fatum i łaska, fatalizm i Bóg? Kiedyś reżyser Maciej Wojtyszko wspólnie z Wilhelmem Hollendrem zarejestrowali na taśmie filmowej wypowiedzi więźniów obozów koncentracyjnych, którzy mówili o m o m e n c i e najbardziej zakorzenionym w ich pamięci, przywoływanym w wyrazistej postaci dziesiątki lat po wojnie. Różne to były momenty, mniej lub bardziej dramatyczne, ratujące często życie.

Andrzej Szczypliowski — KL Sachsenhausen nr 95936:

— Noc z 22 na 23 kwietnia 1945 r., kilka godzin po ewakuacji obozu. Koledzy wyruszyli na słynny marsz ku Lubecie. Ja leżałem bez czucia na pryczy. Nie miałem siły wstać. Wydawało mi się, że jestem sam. Myślałem o rozkazie komendanta obozu, który polecił każdego kto zostanie w obozie zastrzelić na miejscu. Pada deszcz, cisza. Nagle słyszę kroki esesmana: kroki w deszczu do końca mojego życia pozostaną dźwiękiem nadchodzącej śmierci.

Józef Szajna — KL Auschwitz nr 18729, KL Buchenwald nr 41408:

— Nieraz zastanawiałem się, czemu przeżyłem. Okazji do śmierci nie brakowało: nieudana ucieczka z obozu, przylapanie na przemyśle rzeczy z obozu męskiego do żeńskiego, wyrok dożywocia w karnej kompanii. Wyjaśnienie tego szczęścia przyszło dopiero w 1986 r. W teatrze w Tel Awiwie wystawiałem sztukę pt. „Replika”. Jedną z aktorek odczytała na ręce mój numer obozowy: 18 oraz 7 plus 2 plus 9, co też układa się w 18. „Osiemnastka” po hebrajsku znaczy „życie”, a ja miałem dwie takie „osiemnastki”, czyli dwa życia. Musiałem więc przeżyć obozową gehennę.

Arnold Mostowicz — KL Auschwitz-Birkenau, oboz pracy Bad Warmbrun:

— Skierowano mnie do pochówku trupów, brakowało już na nie miejsca. Trzymałem je np. pod łóżkiem. Pewnego razu esesmani weszli do pomieszczenia, gdzie prawie wszy-

scy chorowali na tyfus plamisty. Zza drzwi wypadły na nich ułożone tam w ukryciu czyjeś zwłoki, zapomniałem o tym biednym martwym człowieku. Jeden z oficerów wyjął pistolet, aby ukarać winowajcę, czyli mnie. Ale widocznie, gdy spojrzął na mnie, zobaczył obraz nędzy i rozpaczy, wyglądałem po tym tyfusie gorzej niż nieboszczyk. Szkoda mu było kuli, machnął ręką, wyszedł.

Wilhelm Hollender — KL Auschwitz nr 161206, KL Oranienburg i KL Sachsenhausen nr 131254:

— Po pobiciu trafiłem z obrażeniami do szpitala obozowego. Nie chciałem jednak uchodzić za chorego, bo groziło to pewną wysiłąką do gazu. Kto np. zapadł na flegmonę, nie mógł już liczyć na ratunek. I oto nadchodzi moment badania przed komisją lekarską w schreiber-bloku. Niemiecki lekarz położył moje papiery automatycznie na kupce dokumentów ludzi skierowanych do gazu. Przeraziłem się, co robić? Szybki bilans życia i decyzja: staję do kolejki badanych ponownie. Oburzony sanitariusz woła „wracaj, już tu byłeś, skopią cię na śmierć”. Mówię mu: „puść mnie, ja nic nie ryzykuję, jutro idę do gazu”. Gdy nadchodzi moja kolej zwracam się do lekarza patrząc mu prosto w oczy: „Panie doktorze, jestem młody i silny, chcę żyć”. Lekarz patrzy z niedowierzaniem, poleca zdjąć koszulę jakby szukając resztek mięśni i odpowiada: „Idź spokojnie spać do łóżka”. Ocalałem.

Stanisław Nałęcz-Koczanowicz — KL Auschwitz-Birkenau nr 93191, KL Buchenwald-Dora, KL Oranienburg:

— Zachorowałem ciężko na dur brzuszny. Dla łagierników w 95 procentach była to choroba śmiertelna. Już wyzwoleni jedziemy wagonem. Najciężej chorzy załatwiają swe potrzeby fizjologiczne pod siebie. Smród diawi w gardle. Ogarnia mnie potworny, wprost nie do wytrzymania, głód i pragnienie. Choć mam w kieszeni pajdkę chleba, zdaję sobie sprawę, że nawet mały kęs czy łyżka wody oznacza śmiertelne zatrucie. Przeraza mnie świadomość: oto kończy się wojna, tyle przeżyłem, a teraz przyjdzie mi umierać z powodu skrętu kiszki. Widzę jak niektórzy koledzy rzucają się na jedzenie i po paru chwilach zwiijają się z bólu. Wreszcie pociąg staje, wylegamy z wagonów. Rozpalamy ognisko. Dostrzegam w tym ogniu iskiarkę nadziei. Nadziewam chleb na kij i kładę do ognia. Spalone pieczywo jest jedynym lekarstwem. Żuję tę spaleniznę i czuję się ośniony. Mam szansę przeżyć.

Wanda Barciszewska — KL Mauthausen-Lancensdorf, KL Ravensbrück:

— Moja obozowa chrzestna matka Nina Rawicz-Znamirowska znalazła mi dobrą robotę: segregowanie trupów, odprawianie im małego pogrzebu, miałam krzyżyk, troszkę się pomodliłam... Widać niedokładnie sprawdziłam tętno jakiejś nieszczęśliwej, bo nagle ułożony przeze mnie stos ciał poruszył się i z hukiem rozsypał. Wpadłam w panikę, wybiegłam z krzykiem: „Trupy wstają, ratunku!”. Otworzyłam bez pukania drzwi do pokoju blokowej, Lilki Rozmiarek, córki rzeźnika z Poznania i przeraziłam się jeszcze bardziej. Zobaczyłam ją w uścisku miłosnym z niemiecką „aufsehereką”, nie wiedziałam, że były lesbijkami. Przeraziłam się jeszcze bardziej: za to, że je zobaczyłam w takiej sytuacji ona mnie pewnie wykończy. Ale nazajutrz udawała, że nic się nie stało.

Zofia Rysiówna — KL Ravensbrück nr 7286:

— Nowy Sącz, tuż przed północą, 29 na 30 kwietnia 1941 r. Do naszego domu przy ul. Matejki przychodzi trzech panów w skórzanych płaszczach. Był lęk, że jeżeli nie wezmą mnie — to pozostałych domowników, siostra miała małe dziecko. Szwagier na pożegnanie powiedział: „Napisz nam coś Zosiu”. Napisalam parę zdań: „W dniu wielkiej przygody...”. Ta „przygoda” zawiódła mnie do Ravensbrück i trwała 4 lata...

Józef Paczyński — KL Auschwitz nr 121, KL Mauthausen nr 118163:

— Wyszedłem na strych, odsunąłem dachówkę. Zobaczyłem jak na dłoni więźniów pędzonych do krematorium. Strażnicy kierowani przez porucznika Franza Hesslera mówili im, że idą do łaźni. Grzecznie kazali rozebrać się do naga: „Idźcie do kąpeli, popodpisujcie walizki, jak wrócicie to sobie odbierzecie”. Trzask drzwi. Na betonowy dach krematorium wyskoczył esesman, znalazłem go — Ślązak, otworzył wysp i wrzucił proszek do środka. Zatrzasnął kłapę. Usłyszałem zbiorowy krzyk ludzkiej rozpaczy. Dla zagłuszenia śmiertelnego huk jeździły wokół budynku na pełnym gazie samochody i motocykle. Po 20 minutach wszystko ucichło. Znow esesman wyskoczył na dach, otworzył właz. Ja zszedłem ze swojego punktu obserwacyjnego. Gdyby mnie ktoś zobaczył, lub nie daj Boże spadłaby dachówka, pewnie dołączyłbym do uśmieconej cyklonem B grupy.

Zanotował: JERZY LEŚNIAK